

Wszystkie odmiany bólu

Starcia młodej reżyserki Agnieszki Glińskiej z wielkim repertuarem

„Wprost” zaliczył ją do 25 Polaków, którzy wprowadzą nas w nowy wiek, a „Polityka” wyróżniła swym paszportem. Nazwisko Agnieszki Glińskiej wymienia się dziś jednym tchem z innymi gwiazdami tzw. młodego teatru – Grzegorzem Jarzyną, Krzysztofem Warlikowskim, Anną Augustynowicz – ale artystka konsekwentnie kroczy własną drogą. Jednak i jej zdarzają się wpadki.

Debiutowała bez rozgłosu „Arlekinadą” Terrence’a Rattigana w Teatrze im. Kochanowskiego w Opolu. Później przyszły propozycje pracy na najbardziej renomowanych polskich scenach – w Starym Teatrze w Krakowie, w Warszawie – w Ateneum, Powszechnym, a ostatnio Współczesnym, we wrocławskim Teatrze Polskim. Reżyseruje dużo, daje po kilka premier w sezonie. Ma już w dorobku spektakle wybitne.

Dwa teatry

Mam wrażenie, że są dwa teatry Agnieszki Glińskiej. Pierwszy jest skromny, konstruowany na podstawie małych, nieco zapomnianych tekstów z pełnym szacunkiem dla widza, aktorów i literatury. Drugi wyznaczają kolejne próby mierzenia się z dramatycznymi arcydziełami. Wtedy dochodzą do głosu ogromne ambicje autorki, jej chęć okiełznania scenicznych żywiołów innymi niż dotychczas metodami. Tu jednak Glińska ponosiła klęskę. Próbując zaskoczyć nowatorskimi interpretacjami, trafiała w próżnię. Stąd porażki jej „Trzech siostr” i teraz „Barbarzyńców”.

Najlepsze chyba dotychczasowe przedstawienia Glińskiej powstały w warszawskim Teatrze Ateneum. Najpierw przypomniawszy „Korowód” Schnitzlera, czyniąc z 10 krótkich scenek, których jedynym tematem jest wszechwładza seksu i cielesnych popędów, uniwersalną przypowieść o dojmującej potrzebie miłości. Potem sięgnęła po „Opowieści Lasku Wiedeńskiego” Odona von Horwatha. Spektakl przyniósł wielką kreację Dominiki Ostalowskiej i pokazał, że młoda reżyserka doskonale radzi sobie z epickimi formami.

W przedstawieniach Glińskiej zawsze najważniejsi byli ludzie. Skomplikowani, często zarazem mali i wzniośli, brudni, a jednocześnie piękni. Często odnosiłam wrażenie, że ich życiem powoduje jakieś dziwne tajemnicze fatum i ono każe im poznawać wszystkie odmiany bólu.



Dominika Ostalowska (Nadzieжда) i Andrzej Chyra (Jegor) w scenie z „Barbarzyńców” Gorkiego w reżyserii Agnieszki Glińskiej

A przy tym reżyserka potrafiła patrzeć na nich z czułością i współczuciem, które po chwili udzielały się także publiczności. Najlepszy przykład to marzący o karierze w filmie tytułowy kaleka z Inishmaan z dramatu Martina McDonagha wyreżyserowanego przez Glińską w Teatrze Powszechnym. Patrząc na znakomitego w tej roli Łukasza Garlickiego wierzyliśmy, że nawet niemożliwe staje się realne.

Niestety, takie myślenie o teatrze zawodzi w przypadku inscenizacji tzw. wielkiej klasyki. Miała Glińska pomysł na „Trzy siostry” Czechowa – zamknięcie bohaterów w ciasnej przestrzeni małej sceny Powszechnego po to, by dom Prozorowych wydawał się dusznym więzieniem, a marzenie o Moskwie przystaczało się w walkę o haust świeżego powietrza. Jednak zapłaciła za to wysoką cenę. Zamiast pełnokrwistych postaci po scenie przesuwali się karykatury Czechowskich bohaterów. Nie pomogło epatowanie skrajnymi emocjami – od szeptu do krzyku – ani stosowane z uporem filmowe wyciemnienia. Wniosek był prosty – będąca jeszcze na początku twórczej drogi reżyserka okazała się bezradna w konfrontacji z arcydziełem Czechowa.

Zawsze pod górkę

Powrotem w krąg wielkiej rosyjskiej literatury są dla Glińskiej „Barbarzyńcy” przygotowani w warszawskim Teatrze Współczesnym. Szalenie trudny to utwór. Ponad dwadzieścia postaci, które niełatwo podzielić na pierwszo- i drugoplanowe, wiele tak samo istotnych dla przebiegu akcji wątków, a przede wszystkim konieczność zachowania równowagi między tonacją komediową i serio. Każdy z bohaterów niesie ze sobą długo nie ujawnianą tajemnicę. Pod pozór błahymi rozmowami czają się wielkie napięcia. W rezultacie uczuciowe zapętlenie musi – jak u Czechowa – zakończyć się tragedią.

Glińska nie poradziła sobie z Gorkim. Spektakl niemiłosiernie duży się, rwie na nie połączone ze sobą sekwencje. Ponadto nic nie zwiastuje dramatycznego rozwiązania. Przez długi czas mamy wrażenie, że obcujemy ze średnich lotów salonową komedią. Kończy się na kolejnych bon motach, a głębszego sensu odkryć w tym nie sposób.

Glińska lekceważy obecne w „Barbarzyńcach” literackie odniesienia. Trzeba się bardzo starać, by nie dostrzec, że główny bohater Jegor Pietrowicz

Czerkun to niemal kalka Czechowskiego Platonowa.

Są wreszcie „Barbarzyńcy” rzeczą o zderzeniu dwóch światów – prowincji i inteligentów, burzących ustalony od lat porządek. Obie grupy nie potrafią żyć obok siebie, konfrontacja jest nieunikniona.

Nad wszystkimi tymi kwestiami przelizguje się w swoim spektaklu. Nie ma refleksji nad podwójnym życiem bohaterów, nie ma namysłu nad powikłaną rosyjską duszą. Jest za to błaha komedia i kolejne kwestie recytowane przez aktorów. Tylko Monice Kwiatkowskiej (Anna Fiodorowna) udało się dać portret młodej, a już ciężko doświadczonej, kochającej bez wzajemności dziewczyny. Andrzej Chyra w kluczowej roli Jegora stara się zasygnalizować, że jego bohater jest postacią złożoną. Na te sugestie nie reagują jednak jego sceniczni partnerzy.

Klęska „Barbarzyńców” Glińskiej to jeszcze jeden dowód, że młodzi reżyserzy niepotrzebnie forsują tempo, zapominając, że pracę w teatrze mierzy się w szerokiej perspektywie. Czasami warto trochę poczekać – na literackie arcydzieła przychodzi pora, kiedy artyści zyskują dojrzałość i doświadczenie.

JACEK WAKAR

Wszystkie odmiany bólu

Starcia młodej reżyserki Agnieszki Glińskiej z wielkim repertuarem

„Wprost” zaliczył ją do 25 Polaków, którzy wprowadzą nas w nowy wiek, a „Polityka” wyróżniła swym paszportem. Nazwisko Agnieszki Glińskiej wymienia się dziś jednym tchem z innymi gwiazdami tzw. młodego teatru — Grzegorzem Jarzyną, Krzysztofem Warlikowskim, Anną Augustynowicz — ale artystka konsekwentnie kroczy własną drogą. Jednak i jej zdarzają się wpadki.

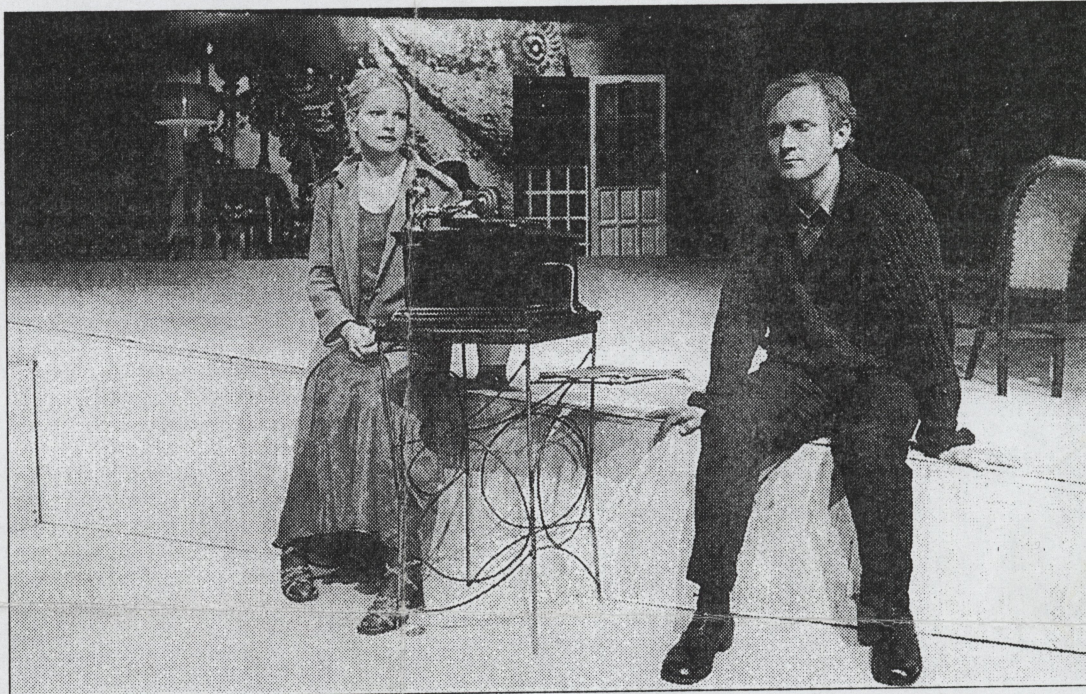
Debiutowała bez rozgłosu „Arlekinadą” Terrence’a Rattigana w Teatrze im. Kochanowskiego w Opolu. Później przyszły propozycje pracy na najbardziej renomowanych polskich scenach — w Starym Teatrze w Krakowie, w Warszawie — w Ateneum, Powszechnym, a ostatnio Współczesnym, we wrocławskim Teatrze Polskim. Reżyseruje dużo, daje po kilka premier w sezonie. Ma już w dorobku spektakle wybitne.

Dwa teatry

Mam wrażenie, że są dwa teatry Agnieszki Glińskiej. Pierwszy jest skromny, konstruowany na podstawie małych, nieco zapomnianych tekstów z pełnym szacunkiem dla widza, aktorów i literatury. Drugi wyznaczają kolejne próby mierzenia się z dramatycznymi arcydziełami. Wtedy dochodzą do głosu ogromne ambicje autorki, jej chęć okiełznania scenicznych żywiołów innymi niż dotychczas metodami. Tu jednak Glińska ponosiła klęskę. Próbuje zaskoczyć nowatorskimi interpretacjami, trafiała w próżnię. Stąd porażki jej „Trzech siostr” i teraz „Barbarzyńców”.

Najlepsze chyba dotychczasowe przedstawienia Glińskiej powstały w warszawskim Teatrze Ateneum. Najpierw przypominała „Korowód” Schnitzlera, czyniąc z 10 krótkich scenek, których jedynym tematem jest wszechwładza seksu i cielesnych popędów, uniwersalną przypowieść o dojmującej potrzebie miłości. Potem sięgnęła po „Opowieści Lasku Wiedeńskiego” Odona von Horwatha. Spektakl przyniósł wielką kreację Dominiki Ostalowskiej i pokazał, że młoda reżyserka doskonale radzi sobie z epickimi formami.

W przedstawieniach Glińskiej zawsze najważniejsi byli ludzie. Skomplikowani, często zarazem mali i wzniośli, brudni, a jednocześnie piękni. Często odnosiliśmy wrażenie, że ich życiem powoduje jakieś dziwne tajemnicze fatum i ono każe im poznawać wszystkie odmiany bólu.



Dominika Ostalowska (Nadzieжда) i Andrzej Chyra (Jegor) w scenie z „Barbarzyńców” Gorkiego w reżyserii Agnieszki Glińskiej

A przy tym reżyserka potrafiła patrzeć na nich z czułością i współczuciem, które po chwili udzielały się także publiczności. Najlepszy przykład to marzący o karierze w filmie tytułowy kaleka z Inishmaan z dramatu Martina McDonagha wyreżyserowanego przez Glińską w Teatrze Powszechnym. Patrząc na znakomitego w tej roli Łukasza Garlickiego wierzyliśmy, że nawet niemożliwe staje się realne.

Niestety, takie myślenie o teatrze zawodzi w przypadku inscenizacji tzw. wielkiej klasyki. Miała Glińska pomysł na „Trzy siostry” Czechowa — zamknięcie bohaterów w ciasnej przestrzeni małej sceny Powszechnego po to, by dom Prozorowych wydawał się dusznym więzieniem, a marzenie o Moskwie przestaczało się w walkę o haust świeżego powietrza. Jednak zapłaciła za to wysoką cenę. Zamiast pełnokrwistych postaci po scenie przesuwali się karykatury Czechowowskich bohaterów. Nie pomogło opatowanie skrajnymi emocjami — od szeptu do krzyku — ani stosowane z uporem filmowe wyciennienia. Wniosek był prosty — będąca jeszcze na początku twórczej drogi reżyserka okazała się bezradna w konfrontacji z arcydziełem Czechowa.

Zawsze pod górkę

Powrotem w krąg wielkiej rosyjskiej literatury są dla Glińskiej „Barbarzyńcy” przygotowani w warszawskim Teatrze Współczesnym. Szalenie trudny to utwór. Ponad dwadzieścia postaci, które niełatwo podzielić na pierwszo- i drugoplanowe, wiele tak samo istotnych dla przebiegu akcji wątków, a przede wszystkim konieczność zachowania równowagi między tonacją komediową i serio. Każdy z bohaterów niesie ze sobą długo nie ujawnianą tajemnicę. Pod pozór blahymi rozmowami czają się wielkie namiętności. W rezultacie uczuciowe zapętlenie musi — jak u Czechowa — zakończyć się tragedią.

Glińska nie poradziła sobie z Gorkim. Spektakl niemiłosiernie długi się, rwie na nie połączone ze sobą sekwencje. Ponadto nic nie zwiastuje dramatycznego rozwiązania. Przez długi czas mamy wrażenie, że obcujemy ze średnich lotów salonową komedią. Kończy się na kolejnych bon motach, a głębszego sensu odkryć w tym nie sposób.

Glińska lekceważy obecne w „Barbarzyńcach” literackie odniesienia. Trzeba się bardzo starać, by nie dostrzec, że główny bohater Jegor Pietrowicz

Czerkun to niemal kalka Czechowowskiego Platonowa.

Są wreszcie „Barbarzyńcy” rzeczą o zderzeniu dwóch światów — prowincji i inteligentów, burzących ustalony od lat porządek. Obie grupy nie potrafią żyć obok siebie, konfrontacja jest nieunikniona.

Nad wszystkimi tymi kwestiami prześlizguje się w swoim spektaklu. Nie ma refleksji nad podwójnym życiem bohaterów, nie ma namysłu nad powiklaną rosyjską duszą. Jest za to biała komedia i kolejne kwestie recytowane przez aktorów. Tylko Monice Kwiatkowskiej (Anna Fiodorowna) udało się dać portret młodej, a już ciężko doświadczonej, kochającej bez wzajemności dziewczyny. Andrzej Chyra w kluczowej roli Jegora stara się zasygnalizować, że jego bohater jest postacią złożoną. Na te sugestie nie reagują jednak jego sceniczni partnerzy.

Klęska „Barbarzyńców” Glińskiej to jeszcze jeden dowód, że młodzi reżyserzy niepotrzebnie forsują tempo, zapominając, że pracę w teatrze mierzy się w szerokiej perspektywie. Czasami warto trochę poczekać — na literackie arcydzieła przychodzi pora, kiedy artyści zyskują dojrzałość i doświadczenie.

JACEK WAKAR